Wyspa
KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 2083-7720
nr 4 (20) grudzień 2011

www.kwartalnik-wyspa.pl

p.o. redaktora naczelnego: Piotr Dobrołęcki
dobrolec@warman.com.pl

Proza: Aleksandra Tetera, Małgorzata Mostek, Wojciech Kaliszewski, Rafał Wojasiński
wyspa.tetera@poczta.fm

Poezja: Katarzyna Bieńkowska, Adrian Sinkowski
fouxpas@wp.pl

Recenzje: Magdalena Wojak
magdusias7@wp.pl

Felietony: Jerzy Górzański, Piotr Wojciechowski, Karol Maliszewski, Mirosław Bańko

Galeria: Małgorzata Karolina Piekarska

Kronika regionalna: Lilla Latus
lilla.latus@neostrada.pl

Cypel: Dagmara Ciećwierska, redaktor naczelna
Współpraca: Olgierd Dokalski

Adres redakcji: 00-048 Warszawa, ul. Mazowiecka 6/8
www.kwartalnik-wyspa.pl

Sekretarz redakcji: Daria Dobrołęcka
wyspa@rynek-ksiazki.pl

Opracowanie plastyczne: Urszula Dulewicz

Opracowanie graficzne: Stanisław Małecki, Grzegorz Zychowicz

Ilustracje w tekście i na okładce autorstwa
Marty Bileckiej-Dudzińskiej

Skład: Tatsu tatsu@tatsu.pl

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza
im. W.L. Anczyca S.A.

Wydawca: Biblioteka Analiz Sp. z o.o.
Prezes zarządu: Łukasz Gołębiewski
Biblioteka Analiz

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo zmian i skrótów, w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania oraz innych zmian.

Prenumeratę można zamawiać w oddziałach firmy Kolporter S.A. na terenie całego kraju (informacje pod numerem infolinii 0801 205 555), a także przez stronę internetową Kwartalnika Literackiego WYSPA.

PROZA

Miljenko Jergović
Męki pana Emanuela 3
Muzli. 7
Peter Karpinsky
Opowiadanie 34
Slobodan Novak
Usiądziemy? 18
Danuta Cirlić-Straszyńska
Niech was diabli.... 22
Teresa Tomsia
Z szarego notatnika 84
Joanna Sendłak
Ona 48
Dariusz Szymanowski
Północ Północny Wschód 90
Andrzej W. Wodziński
Ostatni krok w chmurach 100

POEZJA

Jerzy Górzański
Dedykacja 30
Escape 31
Poprawnościowo się rozgałęziać. 32
Prezentacja wahadłowa 33
Po prośbie 33
Teresa Ferenc
Psalm poranny 122
Telefon 122
Ciało wiersza 123
Dopisek do wiersza Bogdana Jaremina „Zabierać, zostawiać” 124
Świt w szczecińskim klasztorze II 125
Aleksandra Słowik
Czas się wyprowadzić zanim wszystko przejdzie 10
W marcu, ponieważ jest mniej okrutny niż kwiecień 12
Kłopot z tytułem, kiedy wszystko kwitnie... . . . 13
Podkreślone zapisy, początki słów, które po zmroku zmieniają się w zwierzęta . . . 14
Trzeci dzień miesiąca. Naprawdę pierwszy taki . . 15
Po równonocy dobrze jest zsumować doświadczenia 16
Teresa Tomsia
Muszelki, kamyki 88
Pożegnania, porównania 89

ESEJ

Monika Małkowska
Niech sczezną krytycy! 66
Małgorzata Mostek
Bezsilność języka – krytyka artystyczna o Antonim Rząsie 76
Wojciech Kudyba
Ziemskie pokarmy. 94
Janusz Drzewucki
Obca obecność Vasko Popy 24

Spis treści

WYWIAD
Janusz Majewski
Przyjemność pisania
Rozmawia Ewa Zdrojkowska 58

FELIETON
Jerzy Górzański
Szablon w dłoń! 112
Piotr Wojciechowski
Pisarz w kraju średniej wielkości 114
Karol Maliszewski
Internet i poeta 118
Mirosław Bańko
Proste, a więc prawdziwe 120

NOWE NAZWISKA
Łukasz Henel
O tym, jak parobek Korporacjusz
dętkę do roweru atomowego kupywał 126

GALERIA NA WYSPIE
Małgorzata Karolina Piekarska
Baśniowa wyspa 130

PERYSKOP
Piotr Dobrołęcki
Z redakcyjnej poczty 132
Rafał Kur
Literatura nie śpi. Tworzą się kolejne
międzynarodowe koalicje literackie 138

RECENZJE
Monika Bolach
Szukając rozgrzeszenia
Szczepan Kopyt, „Buch” 140
Marek Olszewski
Zgorzkniałe żale albo piosenki o tym,
że nie warto być miłym
Marta Podgórnik, „Rezydencja surykatek” . . . 143
Karol Samsel
Przeciwko analgetykom
Jarosław Klejnocki, „W proch” 146
Marta Brzezińska
Człowiek patrzy w siebie
Piotr Wierzbicki, „Boski umysł.
Esej o tropieniu świata” 149
Magdalena Wojak
Sklejanie węża
Czesław Miłosz, Konstanty Jeleński,
„Korespondencja” 151
Andrzej Samborski
Ku pokrzepieniu serc
Katarzyna Krenz, „Królowa pszczół” 154
Ryszard Kołodziej
Próba rekonstrukcji
Magdalena Grzebałkowska, „Ksiądz Paradoks:
Biografia Jana Twardowskiego” 155
Maciej Duda
Maria i Konopnicka
Lena Magnone, „Maria Konopnicka.
Symptomy i lustra” 158
Piotr Pieńkosz
Eseistyczny Facebook
Marek Bieńczyk, „Książka twarzy” 161
Wojciech Kaliszewski
Jazz. Muzyka dzikusów i intelektualistów
Krystian Brodacki, „Historia jazzu w Polsce” . . . 162

KRONIKA 166

KRONIKA REGIONALNA 172

NASI AUTORZY 180

CYPEL
Wojciech Kwapisiński
Choroba i media. Krótkie studium
odpowiedzialności. 184
Piotr Wojdat
Afro-renesans w Europie Zachodniej
przełomu XX I XXI wieku 192
Wojciech Kwapisiński
Daktari – This is the last song
I wrote about Jews vol. I 196

Sprostowanie
W poprzednim numerze, w stopce redakcyjnej, umknęła informacja, że Adrian Sinkowski jest członkiem naszego zespołu, co oczywiście dementujemy i przepraszamy za pomyłkę.

Redakcja

Sprostowanie
W Wyspie 3/2011 w felietonie Karola Maliszewskiego „Gra Sartoris (albo o bezużytecznym blasku) strona 114 było: W przetłumaczonej przez Kalinę Wojciechowską powieści „Gra Sartoris” …, a powinno być: W przetłumaczonej przez Kalinę Wojciechowską powieści „Sartoris”… Za błąd przepraszamy autora.

Redakcja

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Wydrukowano na papierze CLASSIC 95, 70 g/m², vol. 1.6, dostarczonym przez Zing Sp. z o.o.

Miljenko Jergović

Męki pana Emanuela

Przekład Miłosz Waligórski

W piątek wieczorem, było już po jedenastej, pani Ewie Szwarc popsuł się piekarnik. To znaczy, prawdopodobnie zepsuł się wcześniej, ale dopiero wtedy, mniej więcej o jedenastej dwadzieścia, pani Ewa wstawiła formę z makowcem, przekręciła pokrętło na dwieście i zobaczyła, że czerwona lampka się nie świeci. Cofnęła na sto, zwiększyła do dwustu pięćdziesięciu, otworzyła i szybko zamknęła drzwiczki, i spróbowała raz jeszcze. Nic z tego. W najgorszym momencie roku, trzydziestego pierwszego grudnia, akurat kiedy chciała zrobić noworoczne ciasto, które piecze od sześćdziesięciu lat, czyli jak długo jest żoną pana Emanuela, pani Ewie zepsuł się piekarnik.

Ej, Mano, do krocset, chodź no tu, kuchenka nie działa, wołała. Ale on nie słyszał, bo podekscytowany, jakby Sparta i Ateny toczyły boje w jego przedpokoju, czytał o wojnach peloponeskich. Był głuchy jak pień już dobrych piętnaście lat, a córka ciągle zapominała przysłać mu w terminie zapasowe baterie do aparatu, więc większość czasu spędzał w świętym spokoju i ciszy.

— Mano!, wzywała z kuchni pani Ewa i zanim sobie przypomniała, że pan Emanuel nie słyszy, minęło co najmniej dziesięć minut, czyli akurat tyle, byśmy zdążyli rzucić okiem, co dzieje się dwa piętra niżej, u inżyniera Salihovicia, dobrego sąsiada Kemala, który dwa lata temu wyjechał do dzieci, do Kanady, a mieszkanie wynajął jakiejś amerykańskiej firmie zajmującej się konsultingiem dla biznesu.

Na sylwestra przyszło ich dwunastu, wszyscy bez kobiet, co już samo w sobie mogło wydać się podejrzane. Zasiedli za długim stołem, a w zasadzie za dwoma, które złączyli, by każdy miał miejsce naprzeciwko ogromnego telewizora. Jedzenie i picie zamówili w libańskiej restauracji Kanaan, a odświętną zastawę wzięli z lombardu Martina Schrama, smokingi dla całej dwunastki zresztą też. W powietrzu wisiało napięcie, było wyczuwalne w każdym ruchu i oddechu, w zdawkowych słowach, głównie przeprosinach, gdy któryś przypadkowo zadzwonił srebrną łyżką o pusty talerz albo, sięgając po kieliszek, dotknął dłoni drugiego czy potrącił go łokciem.

Zanim zaczną jeść, najstarszy wsunie kasetę do magnetowidu. Wtedy pozostałych jedenastu pozna wielką tajemnicę, a dwunasty wstanie od stołu i wygłosi najważniejsze przemówienie. Powinno to nastąpić o dwunastej, po złożeniu życzeń. Do tego czasu będą tylko rzucać sobie ukradkowe spojrzenia i wzajemnie się lustrować, tłumiąc irytację, że chociaż zostali wybrani, nadal nie wiedzą, kto tego wieczora zabierze głos.

Pani Ewa Szwarc wcisnęła swojemu Emanuelowi w ręce formę z ciastem i wypchnęła go z mieszkania, po czym dla uspokojenia usiadła, nalała sobie kieliszek francuskiego koniaku i westchnęła za czasami, kiedy to każda kuchenka nazywała się Sloboda Čačak, a sprzęt AGD szanował wszystkie święta, państwowe i religijne. W tym czasie pan Emanuel zdążył zadzwonić do Sunaricia i Hadžihasanovicia, zejść piętro niżej i spróbować u Kasumovicia, mimo że nie byli w najlepszych stosunkach — nikt jednak nie otwierał. Starzy poumierali, a młodzi porozjeżdżali się po świecie albo powychodzili gdzieś na sylwestra. O, Ilijić, tego nie będzie o nic prosił, nawet gdyby ten makowiec miał być ostatnim! Pójdzie jeszcze piętro niżej, do inżyniera Salihovicia, dobrego sąsiada Kemala…

Podczas gdy pan Emanuel błądził po ciemnej klatce, próbując wymacać włącznik światła, na dachu przeciwległego bloku już czaiło się czterech zamaskowanych snajperów w czarnych strojach, a piąty, z tak zwaną pompką w ręku, wisiał na alpinistycznej linie nad oknem dużego pokoju inżyniera Salihovicia i czekał na umówiony znak, by opuścić się metr niżej i wskoczyć do środka. Dwunastu mężczyzn, niczego nie przeczuwając, niepostrzeżenie wycierało spocone dłonie w białą dymkę i studiowało ornamenty na srebrnych trzonkach, a jeden, co było wyjątkowo nietaktowne, odwrócił talerz i utkwił spojrzenie w podpisie producenta. Wystarczyło jednak, że najstarszy chrząknął, a ciekawski odłożył talerz i otworzył usta, by coś powiedzieć.

W tym momencie pani Ewa uroniła łzę. Po prostu zrobiło jej się smutno. Nie była przyzwyczajona do takich sytuacji i nie umiała gniewać się dłużej niż pięć minut. Już od wczesnej młodości złość rozładowywała płaczem. Być może właśnie to ratowało jej skórę w trudnych czasach. Kiedy inni bezskutecznie kruszyli kopie, robili rewolucje, wzniecali bunty albo po prostu się bronili, ona tylko opierała głowę na rękach, a łzy, zamiast ściekać po twarzy w kąciki ust, rzucały jej się z oczu niczym samobójcy w przepaść. Taki widok potrafił rozmiękczyć nawet najtwardsze serca, ale nie robiła tego pod publiczkę. Prawdę mówiąc, nigdy nie zdawała sobie sprawy z tego, że łzy pomagają jej w życiu. Twierdziła, że jej szczęście polegało na tym, że od sześćdziesięciu lat codziennie o tej samej porze, równo o dziesiątej, ze swoim Manem pije kakao, miesiąc w miesiąc tego samego dnia, siódmego albo jeśli akurat wypada niedziela, to ósmego, płaci na poczcie rachunki i co roku, trzydziestego pierwszego grudnia o jedenastej wieczorem piecze makowiec. To dodawało pani Ewie pewności i stwarzało poczucie bezpieczeństwa. W co więc zamieni się jej życie, jeśli pan Emanuel nie znajdzie sprawnego piekarnika i tego wieczora zabraknie makowca?

Zostało jeszcze dziesięć minut do północy, kiedy zadzwonił do inżyniera Salihovicia, dobrego sąsiada Kemala. Dwunastu mężczyzn drgnęło w jednej chwili, ale żaden nie ruszył się z miejsca. Pan Emanuel zadzwonił po raz drugi. Wiedział, że to niemożliwe, by jego Kema nie było w domu. Dzieciarnia rozwłóczyła się po świecie, a on na pewno siedzi przed telewizorem i ogląda program noworoczny. Zadzwonił więc po raz trzeci.

Drzwi otworzył wysoki, śniady mężczyzna z długimi włosami i brodą. Pan Emanuel zdumiony patrzył najpierw na jego muchę, a potem na smoking, którego nie wi-



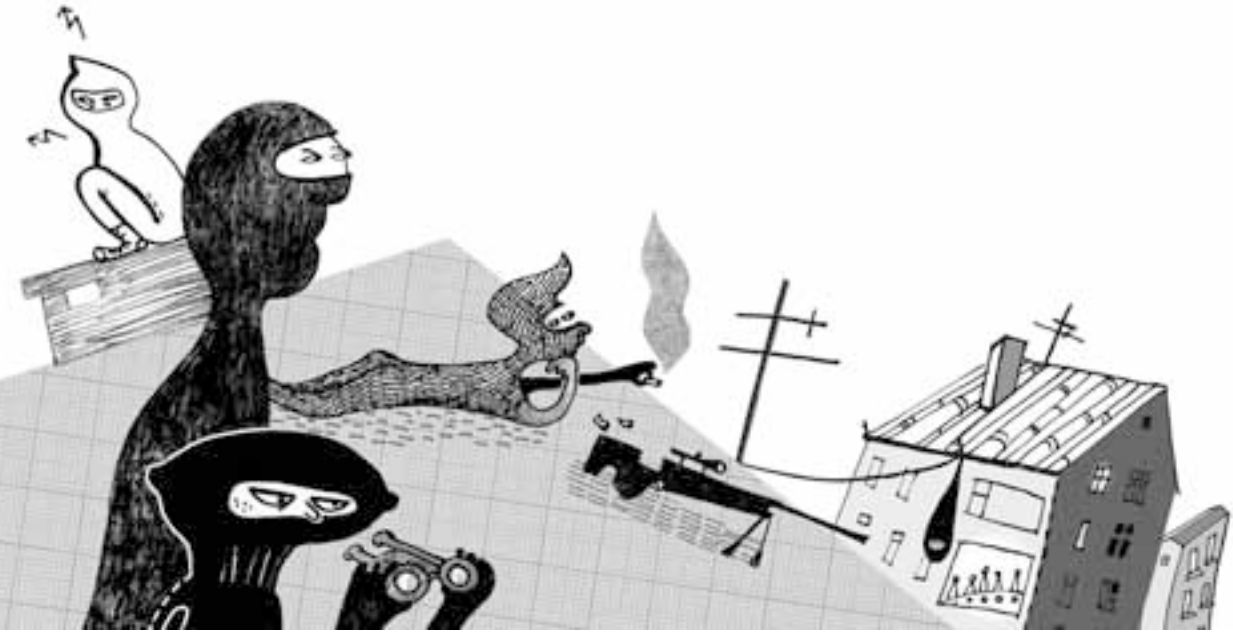
dział na żywo od czasu, kiedy w zagrzebskim hotelu Intercontinental odbierał nominację profesorską. I nagle, pewnie pod wpływem szoku, przypomniał sobie, że sąsiada Salihovicia od dawna nie ma, wyjechał przecież do Kanady, do dzieci i już nigdy nie wróci. Panu Emanuelowi, tak samo jak pani Ewie, zrobiło się smutno i zapłakał. Z kobietą swojego życia wymieniał łzę za łzę i czuł, jak z góry coś uciska mu serce i staje się coraz mniejszy i mniejszy, aż prawie dotyka nosem lakierków stojącego naprzeciwko nieznajomego.

Staruszek płakał z formą w rękach, a mężczyznę ogarniała panika. Przestraszył się, że to podpucha, nakryli ich, a dziadka wysłali jako czujkę. Gdyby go więc od razu przegonił, wzbudziłby podejrzenie.

Dlatego wziął formę z ciastem i wprowadził pana Emanuela do środka. Kto to jest?, zdziwiło się jedenastu. Nie wiem, odpowiedział długowłosy. Ile jeszcze zostało czasu?, dopytywał ten, którego wcześniej interesowała nazwa producenta talerza. Potrzebuję kuchenki, powiedział pan Emanuel.

Wtem zegar na ścianie zaczął wybijać północ. Najstarszy z dwunastu wsunął kasetę do magnetowidu, a jeden drobny i całkiem niepozorny młodzieniec o mysich oczach i dużym, krzywym nosie przytulił pana Emanuela i dwa razy go pocałował. Szczęśliwego Nowego, zdążył powiedzieć, zanim rozległ się huk, trzask i łomot piorunów ze wszech stron, a po chwili pokój wypełnił drażniący zapach eteru.

Pan Emanuel, akademik i emerytowany profesor historii starożytnej, zanim stracił przytomność, wylądował na rękach zamaskowanych mężczyzn, którzy, przekazując go sobie z rąk do rąk jak rzecz podczas przeprowadzki, wynieśli go z klatki schodowej.



Ostatnie, co pomyślał, to to, że Ewa będzie na niego zła, bo zapomniał, że inżynier Salihović, dobry sąsiad Kemal, dawno wyprowadził się do Kanady. O makowcu już nie pamiętał.

A więc tak, powiedział długowłosy. Tak, wtórowało mu jedenastu. A kim jest stary?, zapytał brzydkiego nosala. Dowiemy się jutro, padła odpowiedź, jutro albo za tysiąc lat, wszystko jedno.

Dwa piętra wyżej pani Ewa Szwarc otarła łzy i znowu spojrzała na zegarek. Jej Mano nie wracał, a ona poczuła wyrzuty sumienia, zamiast pomyśleć, że jeszcze czas, przecież makowiec piecze się długo.

Miljenko Jergović

Muzli

Przekład Miłosz Waligórski

W Niemczech ludzie boją się światła. Cały czas mrużą oczy i gniotą je powiekami, tak jak kiedyś stary Sejdo gniótł wrzody, a miał ich, biedaczyna, zawsze pod dostatkiem. Gdy tylko wypędził owce na pastwisko, zaraz podwijał koszulę i dawaj wyciskać czyraki. Nigdy się nie nudził. No, i Niemcy tak samo, wszystko mają podświetlone, a na światło patrzeć nie potrafią i męczą się, gasząc je oczami. Tak myślał Muzli po siedemnastu miesiącach życia we Frankfurcie, zanim podjął trudną decyzję, że wróci do Tešanja, do swojej kobity i swoich kur, i z nimi spędzi resztę życia, tyle, ile przewidział dla niego Allah. W Niemczech nie umrze, bo w Niemczech umierają tylko Niemcy. Pozostałych śmierć nie dotyczy — muszą żyć, dopóki nie wyjadą albo nie znikną jakoś inaczej, niezależnie od śmierci.

Pociąg odchodził o wpół do piątej. Muzli włożył odświętny, zielony garnitur, spakował parę rzeczy, kupił kilo kawy, żeby nie wracać z gołymi rękami i wsiadł do pierwszej klasy. Przed pięćdziesięciu laty ojciec powiedział mu, że bejowie, mieszczaństwo i panowie jeżdżą pierwszą klasą, a prosty lud drugą i Muzli chciał się tego trzymać. Marek miał dosyć, zresztą kto by oszczędzał, gdy trwa wojna i umiera młodość. Znalazł pusty przedział, żeby nikomu nie przeszkadzać, młodym wszak nie zawsze miło na starych patrzeć, szczególnie na starych z jakichś dalekich krajów, leżących tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, za wszystkimi Frankfurtami i wszystkimi Dojczlandami. Kiedy był młody, jemu też przychodziło to z trudem. Pewnego razu w latach trzydziestych, właśnie w pociągu, jakiś Latif-aga[1] przez całą drogę z Zagrzebia do Sarajewa zamęczał go

opowieściami o czasach tureckich, które były lepsze od austriackich, i o austriackich, rzekomo lepszych od czasów króla Aleksandra[2], wzdychał, że nowe zawsze jest gorsze od starego i biadał nad losem młodych, którzy będą musieli przeżyć jeszcze co najmniej trzy zmiany władzy. Do Zagrzebia było daleko, wagony wlokła ciuchcia, tak że można było wyjść i iść pieszo obok jadącego pociągu, a Latif-aga jak gadał, tak gadał. Gdyby podróżowali do Wiednia, jego gawęda skończyłaby się — niech Bóg mi wybaczy — dopiero na dniu Sądu Ostatecznego.

Dlatego Muzli znalazł jedyny pusty przedział i zajął miejsce przy oknie, by nie rzucać się w oczy i nie przeszkadzać, jeśli ktoś przyjdzie i zechce się dosiąść. W końcu, tuż przed granicą austriacką, zjawił się starszy pan w srebrnych okularach i zapytał po niemiecku, czy wolne. Muzli pokazał wzrokiem, że tak. Nieznajomy uśmiechnął się i usiadł po przekątnej tak, żeby nie obijali się nogami. Po kilku minutach wyciągnął gazetę, zdjął okulary, z eleganckiego, skórzanego futerału wyciągnął drugą parę, tym razem złotych, założył i zaczął czytać. Muzli czuł się niezręcznie. Nie mógł przecież bez przerwy patrzeć przez okno, a i rozglądać się nie wypadało, zaczepiłby jeszcze o człowieka spojrzeniem, zawstydziłby go, nie daj Boże, obraził. Otworzył więc torbę, wyciągnął wszystkie dokumenty i okulary, co prawda zwykłe, ale, jakby nie patrzeć, prawdziwe, i zabrał się do studiowania tego, co i tak znał już na pamięć. Do granicy zdążył przejrzeć paszport, papiery emigranta, akt urodzenia, legitymację związkową i ostatnie odcinki emerytury sprzed dwóch lat, a mężczyzna obok cały czas czytał tę samą stronę w gazecie.

Na granicy zamiast wąsatych, łysych celników przywitały ich blondynki w mundurach, prawie że dziewczynki. Uśmiechając się do obu, poprosiły o paszporty i zaraz je oddały. Kiedy wyszły, nieznajomy westchnął, złożył gazetę, spojrzał na Muzlego, wzruszył ramionami, jakby coś ukrywał, i zapalił papierosa. Muzli jeszcze przez jakiś czas trzymał dokumenty na kolanach, a potem razem z okularami schował je do torby.

Mężczyzna chciał go poczęstować, ale on łagodnie pokręcił głową i kiwnął na znak, że nie pali. Mężczyzna rozpogodził się, wskazał palcem na papierosa, ze wstrętem wykrzywił twarz, teatralnie zakaszlał i znów się uśmiechnął. Muzli powiedział — Tak. Nieznajomy nagle uniósł brwi i w dłoni obrócił papierosa. Powtórzył ten gest jeszcze kilka razy, tak że tytoń zaczął się kruszyć i sypać z gilzy na wiśniowy dywan. Muzli zareagował na to słowami skierowanymi raczej do siebie: — Szkoda, bracie. — Mężczyzna zasępił się, schował papierosa z powrotem do paczki i sięgnął po gazetę. Tym razem czytał bez okularów. Muzli patrzył przed siebie na zdjęcie wieży Eiffla na tle nieba zasnutego barankami chmur.

Jechali tak bez słowa mniej więcej pół godziny. Mężczyzna założył w końcu okulary, znów te w złotej oprawie. Muzli westchnął i szepnął pod nosem: — A co ty się tak, kolego, złościsz, skoro nawet nie wiesz, co do ciebie mówiłem. Nieznajomy spojrzał w jego stronę i wydało mu się, że Muzli jest smutny i o czymś intensywnie rozmyśla. Odchrząknął więc, by zwrócić na siebie uwagę, palcem wskazującym puknął się dwa razy w pierś i powiedział: — Split. — Muzli od razu się rozchmurzył, wykonał taki

sam gest i rzucił: — Tešanj. Nieznajomy przytaknął ze znawstwem, dodał: — Kroacja. — i zaraz usłyszał sprostowanie: — Split Kroacja, Tešanj Bośnia. — Był zdziwiony: — Sarajewo Bosnien. — Muzli potwierdził kiwnięciem głowy, powtórzył: — Sarajewo — i ze trzy-cztery razy przeciął dłonią powietrze, by zaznaczyć, że Tešanj jest jeszcze dalej. Mężczyzna przyglądał się temu skupiony, po czym z trudem wypowiedział: — Czetnik. — Muzli zaprzeczył, położył dłoń na piersi i wyrecytował: — Ich bin Muzli, Muzli Muzułmanin, Tešanj Muzułmanie. — Nieznajomy wyciągnął kartkę, zakreślił okrąg, powtórzył słowo Tešanj i wkoło wykropkował pierścień, pytając: — Czetnik? — Muzli potwierdził i dorzucił: — Nafaka. — Mężczyzna kolejny raz ze zdziwienia podniósł brwi: — Nafaka? — Muzli nie umiał lepiej wyjaśnić, co to takiego nafaka i poczuł się niezręcznie, że w ogóle o niej wspomniał. Przez dobrą chwilę znowu jechali w ciszy, mężczyzna myślał o tym, co usłyszał, kiedy nagle pociąg zahamował i jego torba spadła prosto na Muzlego. Podskoczył, ale ten tylko się zaśmiał, chwycił torbę i zaczął nią potrząsać: — Nafaka! Nafaka! — krzyczał, pokazując na swoją głowę: — Torba nafaka, czetnik nafaka. — Mężczyzna odłożył torbę na miejsce i powtórzył: — Torba nafaka, czetnik nafaka. — Muzli uśmiechał się do niego i kiwał głową. Nieznajomy wypowiedział formułę jeszcze kilka razy w nadziei, że dzięki niej będzie umiał wyjaśnić pracownikom Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Splicie, co zdarzyło się w Bośni. Powie im to, co usłyszał od pewnego Muzułmanina z Tešanja, starszego pana o twarzy Konrada Adenauera: — Torba nafaka, czetnik nafaka.

Kiedy pociąg wjechał na zagrzebski dworzec, obaj mieli wrażenie, że znają się od lat, wszystko o sobie wiedzą i powiedzieli sobie rzeczy najważniejsze, które w przyszłym życiu ogromnie im pomogą. Muzli przekonał się, że istnieją także inni Niemcy, a nie tylko truchlejący na myśl o świetle, jaśni jak naleśnik blondyni. Poza tym nieznajomy bardzo dobrze go rozumiał, dokładnie tak jak powinni rozumieć się ludzie w podróży. Z kolei mężczyzna nareszcie spotkał kogoś, kto wyjaśnił mu, czym jest Bośnia i dlaczego toczy się tam wojna oraz zdradził magiczną formułę, którą w Splicie wszyscy na pewno zrozumieją. Jedyne, co go trochę niepokoiło, to świadomość, że przez całą podróż nie udało mu się odkryć, co to jest ta nafaka[3].

1. Bohater sewdalinki pt. „Put putuje Latif-aga", który, podróżując ze swoim przyjacielem Sulejmanem, z nostalgią wspomina stare, dobre czasy [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

2. Aleksander I Karadziordziewić — władca Królestwa Słoweńców, Chorwatów i Serbów (SHS), a następnie Jugosławii. Rządził w latach 1921–1934.

3. Popularne w Bośni słowo o imponującym zakresie skojarzeń. Może oznaczać zarówno środki do życia, jedzenie i picie, jak i alimenty, ale również przychylność niebios, przypadkowość czy nieuchronny los.